

ANNA RYBAKIEWICZ

Autorka bestsellerowej „Lekarki nazistów”.

DO
KOŃCA
MOICH
DNI



FILIA

ANNA RYBAKIEWICZ

DO
KOŃCA
MOICH
DNI

FILIA

Historia inspirowana prawdziwymi wydarzeniami

*Książkę tę dedykuję Prababci Marii, Cioci Wincencie
i Dziadkowi Józefowi,
którzy na nieludzkiej ziemi, w Kraju Altajskim spędzili
sześć lat swojego życia
i których wspomnienia znajdziecie na kartach tej powieści...*

*Wierzę, że wrócę i tym tylko żyję,
Że mnie przyjaciel powitają dłonie,
Że duszę z brudów tulaczki obmyję,
Kiedy mnie pierwszy polski wiatr owionie.*

*Choć może na mnie dom własny nie czeka
Ani rodzina, wracać się nie boję.
W każdym bliskiego napotkam człowieka,
Ziemia i drzewa, i w krąg wszystko moje¹.*

¹ Maria Niwińska, *Wierzę, że wrócę..., Bezdomne ptaki*, Redakcja „Sybira-ka”, Białystok 1995, s. 203.

ROZDZIAŁ 1

Łomża, lipiec 2002 roku

...na to pytanie niestety nigdy nie znalazłam odpowiedzi. Chociaż Bóg mi świadkiem, że zrobiłam wszystko, co mogłam. Przez tyle lat nie szczędziłam ani czasu, ani środków. Całe swoje życie podporządkowałam tylko temu. Niestety, na próżno. Już nigdy nie poznam prawdy. Jego dalsze życie już na zawsze pozostanie tajemnicą. Ta niewiedza była najgorsza. W takiej sytuacji nie można pójść naprzód, nie można tak po prostu zapomnieć. Bo jak pogodzić się z losem, gdy nie wiemy, jaki ten los był...

Kiedyś codziennie wracałam myślami do tamtego dnia. Analizowałam każdy szczegół i wszystko, co mu wtedy powiedziałam. Szukałam usprawiedliwienia dla swojego zachowania we wcześniejszych wydarzeniach. Bez powodzenia. Bo to, co się wtedy stało było tylko moją winą. To mnie zabrakło odwagi, żeby zostać. To ja stchórzyłam. Tym samym przypieczętowałam nie tylko jego los, ale i swój. Dokonałam wyboru... Wyboru, za który przyszło mi odpokutować...

Teraz, dzięki tej książce, przypominam sobie te lepsze chwile, kiedy jeszcze byliśmy razem, kiedy byliśmy szczęśliwi.

Bo takie momenty też były. Przez te sześć lat, które były nam dane, nawet w najgorszy dzień, on zawsze znajdował powód do uśmiechu.

W swoich snach wciąż widzę jego okrągłą twarz. Włosy jak złote kłosa zboża. Mimo że od naszego ostatniego spotkania upłynęło ponad pięćdziesiąt lat, dokładnie pamiętam, jak piękne i niewinne były jego niebieskie oczy.

Czy on również o mnie śni? A może już dawno zapomniał, albo w gniewie wyrzucił mnie ze swych wspomnień? Może nigdy mi nie wybaczył. Tak jak ja nigdy nie wybaczyłam sobie. Nie umiałam tego zrobić...

Wiem, że niewiele pozostało mi już życia, jednak nie boję się śmierci. Całym swoim skutym lodem sercem wierzę, że wystarczająco odpokutowałam za to, co mu uczyniłam. Pozostała mi już tylko nadzieja, że zobaczę go tam po drugiej stronie, i że wybaczy mi moje grzechy...

Na tym kończy się moja historia, która rozpoczęła się w lipcowy poranek 1920 roku w Szczepankowie. Na szczęście dzięki tej książce przetrwa pamięć o moim rodzie, którego zacni członkowie zasiadali przed wieloma laty w Sejmie Wielkim, byli generałami armii Królestwa Polskiego, uczestnikami Powstania Listopadowego, a w końcu zesańcami na nieludzką ziemię. I właśnie tym moim bohater-skim przodkom książkę tę poświęcam.

KONIEC

Gdy wystukałam ostatnie litery mej powieści poczułam, jak w końcu ogarnia mnie wewnętrzny spokój. Tak bardzo bałam się, że nie będzie mi dane jej ukończyć, i że nie zdążę opowiedzieć światu swojej historii. Nie chciałam być zapamiętana taką, jaką uczynił mnie Ałtajski Kraj. Miałam nadzieję, że w końcu ktoś dostrzeże to, jaką naprawdę byłam albo jaką osobą mogłabym być, gdybym nigdy nie trafiła na nieludzką ziemię. Nażyt dobrze wiedziałam, co mówią o mnie sąsiedzi i jak mnie postrzegają. Myśleli, że mam serce z kamienia. Mylili się... Moje serce było skute syberyjskim lodem.

Chociaż wcześniej niewiele obchodziła mnie opinia innych ludzi i nie zwracałam sobie zbyt wiele głowy, tak teraz odczuwam potrzebę usprawiedliwienia się przed całym światem, wyznania swoich win. Zrozumiałam, że tylko tak mogę dostąpić rozgrzeszenia. Pokuta, którą sobie narzuciłam, a może którą zesłał na mnie los, była jedynie formą zadośćuczynienia, etapem w drodze do całkowitego oczyszczenia mnie z grzechów.

To na rozgrzeszeniu zależało mi najbardziej, a książka, w której wyznałam wszystko, co uczyniłam, miała mi je zapewnić.

Spisanie najważniejszych wydarzeń mojego życia zajęło mi prawie rok. Początkowo trudno było mi się zebrać w sobie, znaleźć odpowiedni czas w ciągu dnia na pisanie, porzucić codzienne schematy, które od tak dawna składały się na moją codzienność. Pamiętam, jak zaczy-

nałam. Kilku zdaniom poświęcałam nieraz wiele godzin, a na drugi dzień wrywałam zapisaną kartkę z walca maszyny i wkręcałam w jej miejsce czystą. Dopiero z czasem przyszły dni, w których wręcz zmuszałam się, żeby oderwać zmęczone dłonie od przycisków, a dźwięk wybijanych liter od świtu do zmierzchu roznosił się po całym mieszkaniu. Niespodziewanie słowa same zaczęły ze mnie wypływać, a historia nabierała rozpędu niczym pociąg, którym wieziono nas przez trzy długie tygodnie na tereny oddalone od domu na blisko pięć tysięcy kilometrów.

Pomimo swoich osiemdziesięciu dwóch lat, pisząc tę powieść, miałam wrażenie, że znowu jestem tą młodą dziewczyną, która ma w sobie żar i głowę pełną szalonych pomysłów. Chwilami zdawało mi się, że słyszę znajome głosy. Czuję zapach wody kolońskiej Przemysławki, od której poranną toaletę zaczynał mój papa. Dotykam pięknych sukien matki wiszących w jej garderobie, do której zakradałam się kilka razy dziennie, aby chociaż przez chwilę poczuć się jak dorosła.

Z nieukrywaną radością patrzyłam na stos kartek, który z dnia na dzień rósł na prawym rogu mojego biurka. Każdą kolejną zapisaną stronę kilkakrotnie odczytywałam i dokładałam do poprzednich, pedantycznie wyrównując wszystkie krawędzie.

Od kilku dobrych minut nie przycisnęłam już żadnej litery, a mimo to w uszach nadal dźwięczał mi ten

charakterystyczny stukot maszyny do pisania, z ledwo czytelnym już napisem Łuczniczka 1303. Mimowolnie zaczęłam masować opuszki palców, które bolały mnie nie- miłosiernie. Oparłam się wygodnie na krzesło i wzię- łam głęboki oddech. Nie chciałam jeszcze odchodzić od biurka. Wiedziałam, że wstając, zamknę za sobą pewien rozdział swojego życia. Znowu zostanę sama w czterech ścianach mojego mieszkania. Będę tylko ja i moje wspomnienia... Wszyscy, prędzej czy później, odeszli, zostawili mnie. Nie... To ja odeszłam. To ja ich zosta- wiłam. Porzuciłam wszystkich, których kochałam.

Zegar znowu będzie stał w miejscu, a każdy dzień będzie dłużył się w nieskończoność. Z niewiadomych nam względów, dopiero na starość człowiek uzmysła- wia sobie, co tak naprawdę oznacza życie w pojedynkę i jakie konsekwencje niesie ze sobą wybór takiej drogi. Jednak czasem samotność nie jest naszym wyborem, a jedynie mniejszym złem.

Jedynym pocieszeniem był fakt, że kończąc dziś moją powieść, nie będę musiała więcej spoglądać przez to przeklęte okno, przy którym stało moje biurko. Jeszcze do niedawna rozpościerał się za nim przepiękny widok na starodrzewy w parku po drugiej stronie ulicy. Wi- dok, który przynosił ukojenie zmęczonym oczom i był powodem, dla którego ten pokój wybrałam na swój ga- bilet. Tymczasem od trzech tygodni widziałam przez nie jedynie szare płótno z nazwą firmy remontowej,

która nieudolnie przeprowadzała renowację elewacji mojej kamienicy. O zgrozo! Na samo wspomnienie rozmowy z tym impertynenckim konserwatorem za- bytków czułam, jak znów zaczynała boleć mnie głowa. Nie rozumiałam, jakim prawem człowiek, który ledwo co skończył studia, miał czelność tłumaczyć mi, jak kiedyś wyglądała ta kamienica, skoro to ja doskonale pamiętałam czasy jej świetności, a nawet ludzi, którzy ją budowali?! Przecież ta kamienica postawiona została za pieniądze moich rodziców. Poza tym państwo po raz kolejny wtrącało się do mojej własności, tak jak zrobi- ło to już kiedyś, powołując się tym razem jedynie na inne przepisy prawa. I tak, chcąc nie chcąc, podziwia- łam przez okno metalowe rusztowanie, na którym kilka razy dziennie pojawiały się czyjeś nogi w masywnych i brudnych od pyłu butach.

Powoli odsunęłam krzesło i mocno przytrzymując się oburącz krawędzi biurka, ostrożnie się podniosłam. Raz jeszcze dotknęłam stosu kartek ułożonych na dę- bowym blacie. Ta książka to namacalny dowód na to, co przeszłam ja i moi bliscy. Opowieść, która raz spisana, pozostanie na tym świecie już na zawsze. Historia, któ- ra nie powinna zostać zapomniana. Wsunęłam krzesło i ruszyłam w stronę kuchni. Była już najwyższa pora, aby zaparzyć popołudniową herbatę i zażyć leki. Po drodze zatrzymałam się przy komodzie, na której stał stary gra- mofon. Przesunęłam jego ramię nad czarną winylową

płyte i w tym samym momencie rozległ się przepiękny głos Aleksandra Żabczyńskiego śpiewającego *Już nie zapomnisz mnie* z filmu *Zapomniana melodia*. Pamiętam jak dziś, gdy w sierpniu 1938 roku razem z mamą wybrałyśmy się do Łomży, do kina, na premierę właśnie tego filmu. To była moja pierwsza wizyta w takim miejscu. Byłam pod wielkim wrażeniem samego budynku, który wyglądał jak mały pałac cesarza. Zbudowany był z czerwonej cegły, z pięknie ozdobioną ścianą frontową i dwiema wieżyczkami, pomiędzy którymi widniał podświetlony napis „Mirage”. Kino znajdowało się przy ulicy Szosowej, frontem do placu Kościuszki, a obok wejścia mieściła się mała cukiernia, w której mama kupiła nam ciastka. Tamta wizyta w kinie była namiastką dorosłości. Na popołudniowe seanse wpuszczano tylko osoby pełnoletnie, a ja dopiero co skończyłam osiemnaście lat, więc wchodząc do kina, po godzinie siedemnastej, czułam się bardzo dojrzałe. Poczekalnia wyglądała jak mała sala balowa. Wszędzie wisiały lustra, które stanowiły nie tylko niezwykle efektowną dekorację, ale również pozwalały kobietom upewnić się, czy po zdjęciu kapelusza nie wysunął się gdzieś niesforny pukiel włosów i potem móc go z łatwością z powrotem ułożyć. Tego dnia mama kupiła nam bilety w pierwszym rzędzie z najlepszym widokiem na ekran. Mimo to, co chwila oglądałam się za siebie, ciekawa reakcji innych osób na wyświetlany film. Byłam tak zaaferowana samą

wizytą w kinie, że zapamiętałam jedynie początek i koniec seansu. Na moją nieuwagę mógł wpłynąć również fakt, że w trakcie tego pokazu doszło do nieprzyjemnej sytuacji, kiedy to okazało się, że na widowni byli uczniowie pobliskiego gimnazjum. Jednak nie pozostali na sali zbyt długo, gdyż rozpoznał ich dyżurujący w kinie profesor. Było mi ich wtedy nawet trochę żal.

Dopiero gdy zamiast męskiego głosu z gramofonu zabrzmiał sopran pochodzącej z okolic Łomży Toli Mankiewiczówny, śpiewającej o tym, że chciałaby zaznać *jednej małej chwili radości przy boku kochanego*, momentalnie wróciłam myślami do terażniejszości. W tym samym czasie zagwizdał czajnik z wodą. Zalałam wrzątkiem przygotowaną mieszankę herbaty z suszonym rokitnikiem. Od powrotu do Polski zawsze starałam się mieć zapas rokitnika w swojej kuchni. Kto wie, może to dzięki niemu przeżyłam te wszystkie mroźne dni na nie-ludzkiej ziemi? Uniosłam do ust porcelanową filiżankę ze złotą obwódką, a w drugiej ręce trzymałam spodek w identycznej kolorystyce. Przez ponad pięćdziesiąt lat przechowywałam ten relikwiarz przeszłości niczym skarb, zamknięty na klucz, za szklanymi drzwiczkami drewnianego kredensu. Pozwalałam sobie jedynie raz w tygodniu, w sobotę, kiedy ścierałam kurz z moich precjozów, wziąć ostrożnie do ręki to porcelanowe cacuszko, po czym po chwili odkładałam je z powrotem na miejsce. W tym roku stwierdziłam, że głupotą jest trzymać coś

tak pięknego i nie móc z tego korzystać. Przecież po mojej śmierci jej los będzie z góry przesądzony. Nikt nawet nie pochylił się nad jedną filiżanką, bez pasującej do niej zastawy, a na dodatek z wyszczerbionym spodem. Dla mnie jest ona niezwykłą pamiątką, wspomnieniem rodzinnego domu. Pamiętam, jakby to było dziś – rodziców siedzących w salonie i popijających kawę właśnie z tych filiżanek, delektujących się przy tym faworkami przygotowanymi przez naszą gosposię Irkę. Wizja mojej bezcennej filiżanki wyrzucanej przez jakiegoś ignoranta do śmieci skutecznie przekonała mnie do przeniesienia tej porcelanowej piękności prosto do kuchni. Nie wiem, czy tylko mnie się tak wydaje, czy tak rzeczywiście jest, ale herbata z niej smakuje inaczej, aż chce się celebrować te rzadkie momenty w ciągu dnia, kiedy człowiek nie zaprzęta sobie głowy niczym innym, tylko cudowną, ciepłą wonią rokitnika unoszącą się nad filiżanką.

Gdy wypiliśmy ostatni łyk gorącego napoju, rozległ się dźwięk telefonu. Szybkim krokiem podeszłam do konsoli stojącej w korytarzu, na której stał aparat. Niekulturalnie byłoby kazać czekać rozmówcy dłużej niż trzy sygnały.

– Tu rezydencja Apolonii Dobkowskiej. Słucham? – powiedziałam do słuchawki telefonu i ostrożnie opadłam na stojące tuż obok krzesło.

– Ciocia? Tu Paulina! – zaszczebiotała moja rozmówczyni.

PORUSZAJĄCA OPOWIEŚĆ O BÓLU, CIERPIENIU
I STRACHU, ALE TAKŻE O WIELKIEJ MIŁOŚCI,
POŚWIĘCENIU I NIEGASNĄCEJ NADZIEI.

Apolonia Dobkowska miała odziedziczyć wielki majątek ziemski, wyjść za mąż i wieść szczęśliwe życie. Niespodziewanie zimą 1940 roku została wraz z całą rodziną wsadzona do towarowego pociągu i wywieziona pięć tysięcy kilometrów od domu. Młoda dziewczyna zmieniła pokoje swojego dworu w Szczepankowie na zmarzniętą ziemię Syberii.

Apolonia podejmie nieludzki wysiłek, aby zapewnić przetrwanie swojej rodzinie, a zwłaszcza młodszemu bratu. Gdy pozostawiony w Polsce ukochany nie daje znaku życia, a wizja powrotu do kraju coraz bardziej się oddala, Apolonia zaczyna szukać szczęścia tam, gdzie pozornie nie powinna go odnaleźć – w ramionach zakochanego w niej Andrieja. Po zakończeniu wojny nadchodzi długo wyczekiwany moment powrotu do kraju. Czy życie napisało dla tej historii szczęśliwe zakończenie?

FILIA

cena 47,90 zł

wydawnictwofilii.pl



Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

ISBN 978-83-8357-237-6



9 788383 572376